Eugeniusz Piotrowski, *Nie umiem się nisko klaniać. Zapiski wrocławskiego lekarza z lat 1944–1945, 1957, 1972–1990*, wstęp i opracowanie Grzegorz Wołk, Instytut Pamięci Narodowej. Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Warszawa 2016, ss. 536

KAMIL DWORACZEK

Wrocław

DOI: <https://doi.org/10.26774/rzz.209>

01/2017

**ROCZNIK
ZIEM
ZACHODNICH**

Publikacja dostępna na licencji **Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe**. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autorów. Zezwala się na wykorzystanie publikacji zgodnie z licencją – pod warunkiem zachowania niniejszej informacji licencyjnej oraz wskazania Ośrodka „Pamięć i Przyszłość” jako właściciela praw do tekstu.

Na pierwszy rzut oka książka wydana przez IPN nie wydaje się ciekawa. Zapiski wrocławskiego lekarza, Eugeniusza Piotrowskiego, raczej nie zapowiadają interesującej i trzymającej w napięciu historii. Bohater jest postacią nieznaną, a jako lekarz nie był aktorem ważnych wydarzeń politycznych. Okazuje się jednak, że życie „zwyčajnego” inteligenta w PRL nie było wcale nudne. Zapiski odsłaniają świat realnego socjalizmu, w którym należało się codziennie mierzyć nie tylko z brakiem towarów pierwszej potrzeby, ale – jak się okazuje – również walczyć o zachowanie godności i przyzwoitości.

Dzienniki były pisane przez autora od roku 1944, od czasu kiedy służył w Armii Czerwonej (do 1945 r.). Pierwsza część dziennika opowiada o losach żołnierza nieuczestniczącego bezpośrednio w działaniach wojennych. Piotrowski pisze więc przede wszystkim o zapleczu frontu: zakwaterowaniu, przemieszczaniu się jego oddziału i różnego rodzaju sprawach, które raczej określilibyśmy jako towarzyskie. Szkoda, że jego opisy nie zostały zamieszczone w szerszym kontekście, trudno się bowiem niekiedy zorientować, jak blisko teatru wojennego był autor, co miało decydujące znaczenie dla sytuacji, w jakich się znajdował. Eugeniusz Piotrowski niestety dość szybko porzucił pisanie diariusza. Ostatnia notatka pochodzi z 8 maja 1945 r. Najwyraźniej przeżycia związane z czasami pokoju nie wydawały mu się wtedy godne uwagi i przekazania informacji o nich potomności. Ten pojedynczy zapis jest odbiciem tragicznych losów Polski po II wojnie światowej, wyziera z niego gorzkość, która zapewne towarzyszyła niejednemu Polakowi:

Dzisiaj, kiedy doczekaliśmy się upragnionego zwycięstwa, stoimy przed afiszami zachłystnięci ich krótką treścią. Stoimy jacyś zadumani, oszołomieni, obojętni na otoczenie. Szukam spodziewanego entuzjazmu, radosnego szaleństwa, jakich bachanalii [...] Nie wiemy, gdzie i jaka będzie ta nasza nowa Polska. Rozczarowany jestem tym historycznym dniem! (s. 68)

Piotrowski powrócił do pisania dziennika dopiero po kilkunastu latach, w roku 1957, na co wpływ miała być może jego pierwsza podróż do wolnego świata – Kanady. Autor zapewne chciał w ten sposób utrwalić swoje wrażenia z pobytu za żelazną kurtyną. Miał świadomość, że znalazł się w wyjątkowej sytuacji. Wyjazdy Polaków na Zachód należały wówczas do rzadkości. Stały się zresztą możliwe dopiero w związku z odwilżą; w roku 1957 odnotowano ok. 55 tys. wyjazdów w tym kierunku, z czego do Kanady tylko 770 osób (od 1955 łącznie niecały tysiąc)¹. Nic więc dziwnego, że autor był rozchwytywany przez ciekawych wieści z krajów Północy. Niemal na każdym kroku był traktowany jako „persona grata”, ktoś wyjątkowy, co wyraźnie dostrzega czytelnik jego dzienników. Ciekawe jest także zderzenie człowieka zamkniętego w obozie socjalistycznym ze światem zachodnim. Autor zachwala choćby rozwiązania komunikacyjne czy organizację pracy. Nie była to jedyna podróż autora za żelazną kurtynę, sporo wyjeżdżał w latach 70. i 80, kiedy

1 Zob. D. Stola, *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989*, Warszawa 2010, s. 80–81, 86–95, 488.

zdecydowanie łatwiej było otrzymać paszport. Odwiedził m.in. kraje basenu Morza Śródziemnomorskiego, Szwecję, Izrael i Australię. Porównywał swój status materialny ze stanem posiadania szeregowej lekarki mieszkającej na antypodach. Ona miała dom z basenem oraz mercedesa, o czym Piotrowski mógł tylko pomarzyć. Uderzała też dostępność różnego rodzaju towarów i dóbr, która przybyszowi z Polski musiała uświadamiać klęskę socjalizmu. Autor nie był jednak bezkrytyczny wobec świata opartego na wolnym rynku. Krótki pobyt pozwolił mu zaobserwować też negatywne zjawiska, takie jak konsumpcjonizm czy pogoń za pieniądzem: „W telewizji najczęstszym słowem, które kojarzę, jest dolar – we wszystkich odmianach” (s. 421). Opisane w dzienniku wrażenia i obserwacje są na pewno interesującym materiałem do badań nad historią mentalności.

Zdecydowanie najciekawszym fragmentem dzienników jest okres 1972–1981 (czyli większość zapisków), kiedy Piotrowski był aktywny zawodowo i opisywał rozmaite kłopoty, z jakimi się ciągle borykał. Zarysowany przy tym obraz środowiska lekarskiego niestety nie napawał optymizmem. Lekarze, szczególnie ci na stanowiskach kierowniczych, to z reguły konformiści i karierowicze, którzy niewiele sobą reprezentowali. Ich najważniejszym celem było utrzymanie swoich funkcji, a nie dobro pacjentów czy współpracowników. Doskonałym tego przykładem była sprawa aparatu do magnetoterapii, skonstruowanego przez Eugeniusza Piotrowskiego. Mimo bardzo dobrych wyników w leczeniu ortopedycznym wynalazek ów nie zyskał uznania przełożonych, włącznie z osobami z Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Charakterystyczny dla socjalizmu brak konkurencji sprawiał, że osoby decyzyjne nie były zainteresowane w rozwijaniu nowatorskiego pomysłu. Był to dla nich dodatkowy kłopot i źródło kolejnych obowiązków, z których i tak nie byłoby żadnych korzyści poza dobrem pacjentów. W czasie jednego ze spotkań w sprawie aparatu zniechęcony wygarnął: „Przychodząc tutaj miałem nadzieję, że jesteście od tego, aby pomóc konstruktorowi, a nie szukać motywów, aby bezpiecznie nie podejmować decyzji [...] Przykro mi, panowie, ale wyczerpałem swe siły i nerwy na walkę o budowę dalszych aparatów. Wychodzę” (s. 186). W efekcie niechciany aparat przenoszono z jednej placówki do drugiej. Nieustanne bariery biurokratyczne spowodowały, że autorowi nie udało się upowszechnić stosowania aparatu w lecznictwie złamań. Indolencję przełożonych można było dostrzec także w kwestii wysokości wynagrodzeń i podziału nagród. Piotrowski pisze o niedocenianiu ciężkiej pracy i zdecydowanie wyższym uposażeniu „tandetnych partyjnych cwaniaczków”.

Winą za te i inne zawodowe problemy autor obarczał ustrój socjalistyczny i w nim upatrywał źródła upadku państwa i panujących w nim obyczajów. W czerwcu 1976 r. zapisał: „Inwestycjami nie zmienimy ogólnonarodowego marnotrawstwa, złej organizacji pracy i tumiwisizmu! Okres trzydziestolecia PRL uczynił w naszych umysłach straszliwe spustoszenie” (s. 208). Współczesny czytelnik jednak szybko dojdzie do smutnej konstatacji, że zjawiska opisywane w dziennikach niestety nie straciły na aktualności, są także dzisiaj dostrzegalne przede wszystkim, ale nie tylko, w wielu urzędach i instytucjach budżetowych. Są nie tyle cechą realnego socjalizmu, ile źle funkcjonującej administracji i przerostu biurokracji. Autor więc nieświadomie opisywał uniwersalne mechanizmy.

Nadto w ówczesnym środowisku medycznym w cenie nie były umiejętności i wiedza, a wierność i lizusostwo. Świetnym przykładem jest opisywane wielokrotnie otoczenie prof. Wiktora Brossa, znanego lekarza i twórcy wrocławskiej szkoły chirurgicznej. Autor kilkakrotnie z pogardą pisze o przypadkach schlebiania profesorowi w celu uzyskania określonych korzyści. Sam nawet publicznie piętnował tego typu postawy, krytykując „dyskutantów-lizaków, co to poza wazeliną niczego do dyskusji nie wnoszą” (s. 122). Z zapisków Piotrowskiego łatwo wyciągnąć wniosek, że Bross chętnie otaczał się swoistym „dworem”. Jeden z luminarzy polskiej chirurgii sam też nie jest przedstawiony w najlepszym świetle. W zapisku z 28 sierpnia 1972 r. można przeczytać, jak Piotrowski udał się do profesora z cennymi pamiątkami po Janie Mikuliczu, znalezionymi poza Wrocławiem, a gdy je pokazał, w odpowiedzi usłyszał: „Panie, przecież ta tabliczka była na mojej klinice, widziałem ją na własne oczy, a zeszyty Mikulicza były w bibliotece kliniki” (s. 123). Sam Piotrowski ostro zareagował na pomówienie o kradzież, nie był na pewno potulnym lekarzem paraliżowanym przez profesorski tytuł adwersarza. Nie była to jedyna sytuacja, w której mówił to, co myślał, nie ukrywał swoich krytycznych poglądów wobec środowiska i panujących w nim stosunków. Była to główna przyczyna – obok bezpartyjności – nieudanej kariery naukowej i zawodowej.

Przez swoich kolegów po fachu często traktowany był jak pieniacz i awanturnik. Sam siebie określił jako „cichego dysydenta”. Można zaryzykować twierdzenie, że Piotrowski był o krok od przystąpienia do zorganizowanej opozycji. Na pewno nie brakowało mu odwagi, wiedział, że nie ryzykowałby przecież kariery. Dlaczego nie wykonał tego kroku? Trudno dziś odpowiedzieć na to pytanie, może po prostu nie miał możliwości dotarcia do osób zaangażowanych w działalność antykomunistyczną? W każdym razie Piotrowski jest doskonałym przykładem oporu jednostkowego, osoby niezależnej, która nie poddała się otaczającej patologii.

W tym też kontekście warto przywołać zapis z 20 marca 1976 r., kiedy Piotrowski opisuje dyskusję z żoną na temat tego, czy uczestniczyć w – jak to sam określał – tak zwanych wyborach. Jak wiadomo, głosować było można wyłącznie na kandydatów Frontu Jedności Narodu, wcześniej nominowanych przez aparat partyjny. Trudno więc było mówić o jakimkolwiek wyborze. Piotrowski wyraźnie skłaniał się do zbojkotowania głosowania, nie dowiadujemy się jednak, jaka była jego ostateczna decyzja. Problem wrócił na początku 1980 r. przy okazji kolejnych wyborów do sejmu i rad narodowych. Podobnie jak cztery lata wcześniej, nie miał zamiaru w nich uczestniczyć, słusznie określając je jako fikcję. W rozmowach ze znajomymi nie krył swoje krytycznego stosunku do zbliżającego się głosowania i z dużym rozczarowaniem pisał o swojej rozmówczyni, która przekonywała, że trzeba iść do urn, aby nie zaszkodzić dzieciom. Piotrowski przekonywał, że najrozsądniejszy jest bojkot, własną postawą pokazywał, że w istocie istniał wybór – nie było nim skreślenie tego czy innego kandydata Frontu Jedności Narodu, ale bojkot albo uczestnictwo w sfingowanych wyborach. Przykład autora dzienników pokazywał, że „zwykła uczciwość w stosunku do siebie” wcale nie musiała dużo kosztować i nie była powodem kłopotów dzieci.

Z lektury dzienników wyłania się więc obraz życia inteligenta w PRL, który musiał wybierać między przyzwoitością i nonkonformizmem a karierowiczostwem, przy-

należnością do partii i niemoralnym postępowaniem. To drugie niewątpliwie ułatwiało karierę i torowało drogę do lepszego statusu materialnego. „Obłuda, fałsz, cwaniactwo są nagradzane, a uczciwość, prostolinijność i rzetelność tępiące” (s. 208) – konstatował. W latach 80., kiedy stopniowo umierały znane autorowi osoby, z pogardą pisał o uroczystych pogrzebach „kacyków” i zestawiał je z raczej skromnymi uroczystościami pogrzebowymi porządnymi i dobrych lekarzy. Piotrowski dokonał wyboru – wybrał przyzwoitość, a nie splendory i dobra, których – jak pisał – i tak nie można ze sobą zabrać „na drugi brzeg”. Warto dodać, że problem, który dotyczył autora, nie zniknął wraz z upadkiem komunizmu i rozwiązaniem PZPR. Dotyka on także współczesnego człowieka, być może nawet w większym stopniu niż Eugeniusza Piotrowskiego. W PRL można było osiągnąć wyższy od przeciętnego status materialny, ale możliwości gromadzenia i zdobywania dóbr były nieporównywalnie mniejsze niż w czasach dzisiejszych. Pokusa ich uzyskania jest więc zdecydowanie większa i można zaryzykować twierdzenie, że Piotrowskich jest mniej niż jeszcze 30–40 lat temu. Tym bardziej warto sięgnąć do książki, aby przeczytać o człowieku, którego postawa może służyć za wzór i w czasach dzisiejszych.

Dziennik traci nieco na swojej dynamice po przejściu na emeryturę jego autora w roku 1981. Od tamtego czasu Piotrowski nie miał właściwie kontaktu ze środowiskiem lekarskim i skupił się przede wszystkim na komentowaniu bieżących wydarzeń politycznych. A było co komentować, bo był to okres obfity w ważne wydarzenia. Najpierw obserwował zmagania NSZZ „Solidarność” z obozem władzy, później wprowadzenie stanu wojennego, a w drugiej połowie lat 80. stopniową liberalizację, która doprowadziła ostatecznie do kompromisu przy Okrągłym Stole. Autor dziennika nie był jednak uczestnikiem tych wydarzeń, jedynie biernym obserwatorem czerpiącym swoją wiedzę z mediów. Zapiski z tych lat mają więc w pewnej mierze charakter wtórny, a komentarze autora często powtarzają się i sprowadzają najczęściej do utyskiwania na „kacyków” winnych kryzysu w Polsce.

Czytelnik zainteresowany historią polskich Kresów również nie będzie rozczarowany. Autor wielokrotnie odwołuje się do swojego pochodzenia. Urodził się w Wasylkowicach na Podolu, a uczył w Czortkowie i we Lwowie. Z dużym sentymentem przywoływał czasy przedwojenne, które z dalszej perspektywy wydawały mu się okresem idyllicznym, co jest akurat powszechne wśród osób, które zostały zmuszone do opuszczenia swoich rodzinnych stron i przeniesienia się na nieznane i obce Ziemie Zachodnie. Przywiązywał także dużą wagę do zawartych wtedy przyjaźni, które zresztą przetrwały przez następne dziesięciolecia. Można łatwo wyczuć, że wspólna kresowa przeszłość była ich solidnym fundamentem. W zapiskach znajduje się co najmniej kilka głębszych refleksji o charakterze retrospektywnym, m.in. ciekawy obraz wkroczenia Armii Czerwonej w roku 1939.

Naukowe opracowanie dziennika nie budzi większych zastrzeżeń, trzeba przyznać, że Grzegorz Wołk włożył wiele starań, aby ustalić więcej informacji na temat osób, o których wzmiankuje Piotrowski. Można jednak odnieść wrażenie, że stało się to celem nadrzędnym i pochłonęło *gros* uwagi redaktora. W rezultacie w książce można znaleźć notki o postaciach powszechnie kojarzonych, na przykład o Sherlocku Holmesie, Juliuszu Cezarze czy Janie III Sobieskim. Z drugiej strony czasem

brakuje natomiast wyjaśnień wydarzeń czy zjawisk przytaczanych przez autora, a które mogą być niejasne dla czytelnika. Przykładem jest choćby mord profesorów lwowskich w lipcu 1941 r. czy zmiany w konstytucji w roku 1976, mało precyzyjnie przedstawione przez Eugeniusza Piotrowskiego. Ewidentnie brakuje także odwołań do sytuacji strajkowej w 1980 i 1988 r., którą autor szeroko komentuje. Właściwy przypis mógłby unaocznic czytelnikowi skalę protestów. Są także momenty, kiedy autor ewidentnie się pomylił, na przykład pisząc o manifestacji 31 sierpnia 1982 r. we Wrocławiu i Lubinie, utrzymywał, że tylko w tym drugim były ofiary śmiertelne. Tymczasem we Wrocławiu od kul zginął Kazimierz Michalczyk oraz – jak dowiadujemy się z filmu dokumentalnego *Bitwa wrocławska* – również co najmniej dwie inne osoby. Zapiski nie są uzupełnione odpowiednim komentarzem. W innych miejscach jednak redaktor tomu prezentuje najnowszy stan badań na temat wydarzeń przytaczanych w dzienniku, jak choćby w przypadku zajęcia Ambasady PRL w Szwajcarii w roku 1982.

Największy zawód czytelnika może wszakże wzbudzić brak informacji na temat losów Eugeniusza Piotrowskiego po roku 1990. Można znaleźć jedynie fotografie z późniejszego okresu, choćby z Australii, ale nie sposób wywnioskować, czy wrocławski lekarz przeniósł się tam na stałe. Łatwo można było to ustalić, skoro – jak dowiadujemy się z noty edytorskiej – dzienniki były kontynuowane w latach 1990–2008 (data końcowa to rok śmierci Piotrowskiego). Można mieć też wątpliwości, czy rezygnacja z publikacji całości materiału była słuszna. Stosunkowa mniejsza wartość zapisków powstałych po 1990 r. nie powinna chyba przesądzać o ich dyskwalifikacji. Tym bardziej niezbyt przekonująco brzmi argument, że zapiski powstałe po 1990 r. mogą być przedmiotem odrębnej publikacji. Czy fragment dziennika, i to ten mniej ciekawy, rzeczywiście wzbudzi zainteresowanie jakiegoś wydawcy? *Po-żiwim-uwidim*, jak zwykł pisać Eugeniusz Piotrowski. A tymczasem oddajmy się lekturze opublikowanej części dziennika, bo naprawdę warto!